

Howard Phillips Lovecraft (1891 – 1937)
14 Marca 1996 r. – 59 rocznica śmierci

*Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami
Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami*

Marcin ‘Seji’ Segit

SNY

Noc. Czas spokoju i przemocy. Czas snu, złych ludzi oraz mocy, które lepiej niech pozostaną nie nazwane. Lęk przychodzi o zmroku i odchodzi wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Boi się każdy, niezależnie od tego, co na ten temat mówi. W każdym z nas jest zasiany strach. Strach przed nieznanym, przed przeznaczeniem, przed śmiercią. Czasami zapominamy o nim, a kiedy indziej lęk paraliżuje nasze ruchy i myśli. Odbiera swobodę działania. Wtedy ogarnia nas jedno pragnienie: uciec jak najdalej, uwolnić się od tego uczucia. A to wszystko dlatego, aby nie odkryć, czego się boimy. Nikt nie lubi stawać twarzą w twarz z własnymi lękami i koszmarami. Mogą to być zwykłe rzeczy: cień poruszanej wiatrem zasłony, obudzony w gnieździe ptak, szum wiatru. Są jeszcze inne przyczyny: nocny krzyk przeszywający mroczną ciszę, przytłumione, powolne kroki dochodzące z dachu, dźwięki niedające się w żaden sposób przyporządkować ludziom bądź zwierzętom lub też myśli przywołujące zdarzenia, o których chcielibyśmy zapomnieć.

Ja jednak nie zapomnę tego, co wydarzyło się pewnej jesieni. Tych dni nigdy nie uda mi się wymazać z pamięci, a ich cień wciąż będzie podążał za mną aż do śmierci, która, mam nadzieję, przyjdzie niebawem i uwolni mnie od tych wspomnień – na zawsze. Zanim jednak umrę, chciałbym pozostawić innym przestrożę przed mocami, z którymi lepiej się nie zadawać. Dlatego właśnie spisuję to, co mi się przydarzyło...

Z notatek....

Wszystko zaczęło się pewnej deszczowej nocy. Chcąc odprężyć się po całodzienniej pracy, postanowiłem poczytać przed snem książkę. Wziąłem pierwszą z brzegu, otworzyłem na środku i zagłębiłem się w lekturze. Była to praca jakiegoś naukowca – czy może raczej szarlatana – traktująca o telepatii, jasnowidzeniu i tym podobnych bzdurach, które uznawałem za bajki i wytwory chorej wyobraźni szaleńców. Coś, czego nie dawało się fizycznie zmierzyć, nie istniało dla mnie. Rozdział, który zacząłem czytać, mówił o powiązaniach snu ze światem realnym: jasnowidzenie śniących, przekazy myśli, odwiedzanie we śnie odległych miejsc. Po kilku minutach wywody te zaczęły mnie nudzić, lecz z jakiegoś powodu nie odłożyłem książki. W końcu odniosłem wrażenie, że znalazłem, to czego szukałem. Był to ustęp o więzi, jaka podobno łączy ludzi śniących ze światem zmarłych; o tym, że ci, którzy odeszli, mogą dzięki naszym snom przekazywać żywym wiadomości. Są to najczęściej ostrzeżenia przed prowadzeniem złego stylu życia, konieczności usatysfakcjonowania się i tak dalej. Czasami, według autora, zmarli proszą nas

o pomoc w sprawach, w których sami nie mogą sobie poradzić, np.: oczyszczenie z niesłusznie postawionych zarzutów, spłatę długu lub zmianę miejsca pochówku.

Kiedy tylko przeczytałem ten fragment, poczułem ogarniająca mnie senność. Zgasilem światło i pogrążyłem się w cichej, spokojnej ciemności.

Zazwyczaj nie miewam snów. Lub też po prostu nie pamiętam ich. Jeśli mam sen, to jego treść stanowią najczęściej wspomnienia różnych sytuacji, w których się kiedyś znalazłem. Zazwyczaj jednak nie śnię. Jednak nie czuję się z tego powodu pokrzywdzony, choć podobno brak marzeń sennych cechuje osoby o małej wyobraźni, które całą uwagę poświęcają problemom dnia codziennego.

Tym razem było inaczej. Gdy tylko wkroczyłem do krainy Morfeusza, zacząłem dostrzegać powoli formujące się obrazy. Towarzyszyła temu zjawisku muzyka odgrywana na dzwonach – dziwna i bardzo spokojna, ale jednocześnie ponura, wywołująca przejmujące uczucie lęku. Ja sam wchodziłem po wysokich, skrzypiących, drewnianych schodach, coraz bardziej zbliżając się do wirujących barwnych plam, powoli formujących rozmazane kształty ponad moją głową. Kiedy dotarłem na szczyt schodów, plamy zaczęły tracić kolory, stawały się mroczne, ciemniały, lecz wciąż mogłem rozróżnić pojedyncze barwy. Łączenie się plam i przyjmowanie przez nie jednej formy zaczęło przebiegać teraz szybciej. Jednak co chwilę płaty czerni – tak, wszystkie kolory przemieniły się w gęstą, aksamitną czerń – zlewały się ze sobą, tworząc najróżniejsze kształty, jak gdyby nie mogły dojść do zgody, co mają stworzyć. Ostatecznie ułożyły się w sylwetkę człowieka ubranego w długie, powłóczyste szaty. W czasie, gdy ja stałem na platformie wieńczącej schody, on zdawał się unosić w tym, co wypełniało krainę snu. Jakby płynął nad mrocznymi chmurami sennych mar. Nie widziałem jego twarzy, gdyż nie było tu żadnego źródła światła skierowanego na tę tajemniczą postać. Kiedy formowanie dobiegło końca, dzwony zamilkły. Zapanowała cisza zwiastująca oczekiwanie...

Nagle po mojej prawej stronie pojawił się snop światła, który zaczął przybliżać się, zmierzając do oświetlenia mrocznej sylwetki stojącej naprzeciw mnie. Powoli z mroku zaczęły wyłaniać się wyraźne kontury jej stroju. Pierwsze co przyszło mi do głowy, gdy zobaczyłem granatową, sięgającą stóp sylwetki szatę, było nieodparte wrażenie, iż osoba ta musi być jakimś kapłanem. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Światło w dalszym ciągu ujawniało wygląd nieznajomego. W końcu ujrzałem go. Wyraźnie. Zalanego światłem. Całego, z wyjątkiem twarzy, którą skrywał cień rzucony przez naciągnięty głęboko na oczy kaptur. Dostrzec można było jedynie niewyraźną linię ust. Mogłem teraz dokładnie stwierdzić, kogo spotkałem w moim śnie: był to, sądząc z budowy ciała, mężczyzna ubrany w długą, granatową tunikę przywodzącą na myśl stój kapłański. Byliśmy mniej więcej równego wzrostu. Wyczuwałem płynącą od niego siłę, niedającą się opisać uczucie własnej wyższości oraz coś, co wywoływało lęk: pierwotną, niepojętą moc, której potęgi umysł ludzki nie byłby w stanie ogarnąć i zrozumieć. Przez jakiś czas staliśmy tak naprzeciw sobie, nie wykonując żadnych ruchów. W pewnej chwili, że jego usta rozwarły się jakby w przygotowaniu do wydania jakiegoś dźwięku. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Usta poruszały się powoli, najwyraźniej starając się przekazać mi jakąś wiadomość, lecz żaden dźwięk nie naruszył panującej ciszy. Trwało to przez jakiś czas – nie wiem dokładnie ile. Mogła być to zarówno minuta, jak i godzina. Ja stałem w miejscu niczym zahipnotyzowany i wpatrywałem się w stojącą przede mną postać. Wreszcie „kapłan” najwyraźniej zrezygnował z chęci porozumienia się ze mną i zaczął zbierać się do odejścia – po prostu, poczynając od stóp, zaczął się rozmywać. W tym momencie nastąpiło coś, czego chyba nie zapomnę do końca, mam

nadzieje, że już niezbyt długiego, życia. Snop światła oświetlający nas do tej pory z boku, przeniknął przeze mnie i podpłynął do znikającej postaci, oświetlając jej twarz! W trupiobladej poświacie bijącej od tajemniczego reflektora ujrzałem upiorny widok: mój niedoszły rozmówca nie posiadał czegoś, co można by nazwać twarzą! Jej miejsce zajmowała czaszka obciągnięta cienką, suchą i pomarszczoną skórą. Oczodoły ziały pustką, a suche wargi odsłaniały pożółkłe ze starości zęby zaciśnięte w wiecznym grymasie. Zacząłem krzyczeć.

W tym właśnie momencie obudziłem się, krzycząc na cały głos. W panice zacząłem szukać wyłącznika lampki nocnej. Gdy go znalazłem, natychmiast wcisnąłem, rozświetlając pokój jasną barwą spokojnego, niosącego wybawienie elektrycznego światła. Spojrzałem na zegar. Było dwadzieścia po czwartej rano. Tej nocy już nie zmrużyłem oka.

Jak już wspomniałem, niezmiennie rzadko coś mi się śni. Są to – o ile uda mi się je zapamiętać – sny spokojne, przywołujące dawne zdarzenia i sytuacje, w których się znalazłem. Koszmarów zaś nie miałem nigdy. Aż do tej pory.

Obudziwszy się, przesiedziałem na łóżku cztery godziny, starając nie myśleć o tym, co zobaczyłem we śnie. Jednak nie było to łatwe. Ciągłe w mych myślach pojawiała się straszna wizja z mego snu: czaszka obciągnięta wiekową skórą, twarz pozbawiona oczu, pozbawiona życia. A jednak postać, którą spotkałem we śnie była żywa! Próbowwała coś mi powiedzieć, lecz z jakichś nieznanych mi przyczyn nie mogła zrealizować swoich zamierzeń.

Nadejście dnia powitałem z ulgą. Oświetlony przez pierwsze promienie słońca wpadające przez okno do mojego pokoju, powoli uspakajałem się. Wtedy mój wzrok padł na leżącą na podłodze książkę, którą czytałem poprzedniego wieczoru. W nocy musiała spaść z łóżka. Podniosłem ją. Była otwarta na rozdziale dotyczącym koszmarów sennych i ich związku z osobistymi lękami śniącego. Zaczęły mi drżeć ręce. To ta książka spowodowała moje nocne przeżycia! – pomyślałem. Gdybym jej nie czytał, nie miałbym najprawdopodobniej żadnego snu. Zdenerwowany poszedłem z nią do salonu i wrzuciłem do kominka. Choć w domu było ciepło – rok temu zainstalowano centralne ogrzewanie – rozpałem ogień i przez jakiś czas patrzyłem, jak białe strony czernieją w płomieniach i zamieniają się w popiół. Trochę mi to pomogło. Następnie zjadłem śniadanie i postanowiłem dla odprężenia przespacerować się po mieście.

Jesień w regionie, w którym mieszkam, bywa różna: może być ciepła i sucha, łagodnie przygotowująca nas na przyjscie zimy, lecz może być również zimna i deszczowa, działająca na wszystkich przygnębiająco i zmuszająca do rozmyślań nad sobą. Taka właśnie była w tym roku. Zimna, mokra, atakująca wszystkich lodowatym wiatrem, który przedzierał się przez najgrubsze nawet ubranie, wywołując dreszcze.

Postawiłem kołnierz i nałożyłem kapelusz. Wprawdzie nie padało, lecz wiał zimny wiatr, zawodzący w szczelinach murów i przeciskający się przez najlepiej uszczelnione okna. Czulem, że niesie on ze sobą jakieś uczucie nieokreślonego i irracjonalnego niepokoju, lecz przypisałem to nocnym przeżyciom. Wciąż bowiem byłem wstrząśnięty tym, co ujrzałem we śnie. Wyszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę niewielkiego placyku znajdującego się niedaleko od mojego domu.

Lubiłem to miejsce. Tam bowiem znajdowało się kilka sklepów z ulubionym przedmiotem moich zainteresowań – książkami. Wokół placyku, na którego środku była niewielka fontanna, stało sześć czy siedem sklepów, z których cztery sprzedawały głównie książki. Była tam księgarnia techniczna zaopatrująca przede wszystkim inżynierów, księgarnia medyczna odwiedzana przez lekarzy i aptekarzy i księgarnia „dla wszystkich” sprzedająca

książki o najróżniejszej tematyce – od dziecięcych, poprzez książki dla młodzieży i literaturę przybliżającą najnowsze osiągnięcia nauki i techniki, do dzieł autorów takich jak Homer czy Kartezjusz. Ostatnim z najbardziej interesujących mnie sklepów był antykwariat. Lubilem tam przychodzić od czasu, jak tylko nauczyłem się w miarę poprawnie czytać. Siedząc otoczony drobinami kurzu i zapachem skóry przeglądałem pośótkle ze starości woluminy, starając się jednocześnie zrozumieć jak najwięcej z ich treści.

Mimo, iż była niedziela, zdecydowałem się zajrzeć do antykwariatu choćby przez szybę, gdyż od ponad miesiąca nie byłem tam. Przez jakiś czas szedłem ulicą samotnie, zmagając się z przybierającym na sile wiatrem. Dopiero dwie przecznice od mojego domu zobaczyłem pierwszych przechodniów. Wszyscy spieszyli się gdzieś i nie zwracali na siebie uwagi, mając myśli zajęte swoimi sprawami. Zauważyłem jednak, że ci, którzy mnie mijali, uważnie przyglądali mi się, a na ich twarzach malował się bezgraniczny strach. Nie wiedziałem, jak się zachować, więc szedłem dalej, starając się omijać wszystkie napotkane osoby. Nagle mocniejszy powiew wiatru strącił mi z głowy kapelusz. Chcąc założyć go w miarę prosto, przystanąłem przy jednej z wystaw mijanych sklepów. Spojrzałem, na swoje odbicie i ziemia w tym momencie usunęła mi się spod nóg. W odbiciu nie zobaczyłem siebie, lecz ów potworny obraz z mojego snu: bladą czaszkę obciągniętą przezroczystą skórą. Potem straciłem przytomność.

Ocuciły mnie pierwsze strugi deszczu. Powoli wstałem i z lękiem spojrzałem w szybę wystawową. Nie ujrzałem w niej jednak nic poza swoim odbiciem. Stwierdziłem, że jestem błądy i trzęsę się, nie wiadomo czy z zimna, czy też ze strachu. Na szczęście to, co ujrzałem wcześniej w szybie, było tylko złudzeniem – pomyślałem. Otrzeptałem płaszcz i zawróciłem w kierunku domu. Sądziłem, że jest to jedyne bezpieczne miejsce. Nie wiedziałem wówczas, jak bardzo się myliłem.

Na progu domu znalazłem poranne wydanie lokalnej gazety. Wziąłem ją i wszedłem do środka. Skierowałem swoje kroki do salonu. Rozpaliłem ponownie ogień w kominku, usiadłem w fotelu i zacząłem czytać gazetę. Tak jak się spodziewałem, nie znalazłem w niej nic ciekawego. Nic, z wyjątkiem artykułu na czwartej stronie, na której od kilku miesięcy mieścił się dział przypominający historię miasta. Wydarzenia, o których mówił artykuł, miały miejsce kilkadziesiąt lat temu. Ponieważ przez ponad dwadzieścia lat przebywałem za granicą, zaciekało mnie to. Zdziwiony byłem również, że nikt mi o tym wcześniej nie mówił. Przejdźmy jednak do rzeczy. Kilkadziesiąt lat temu pewien imigrant z Rosji, Borys Gajdar, zaczął nawoływać ludzi do stworzenia Wspólnoty, w której jakakolwiek kontrola jednostki sprawowana przez organy wyższe, takie jak rząd czy parlament nie istniałaby. Nawoływał do lekceważenia różnych ustaw, gdyż, jak mówił, to wszystko ogranicza wolę człowieka, która powinna pozostać wolna, tak jak ją uczynił Bóg. Wielu ludzi podażyło za jego wołaniem. Początkowo lekceważąc jedynie normy obyczajowe. Następnie jednak zaczęli lekceważyć prawo, co doprowadziło do licznych konfliktów z policją. Jednak to nie było wszystko. Po dłuższym czasie swojej działalności Gajdar stwierdził, że jakoby posiada moc, dzięki której z boskiego nakazu ma wyrwać ludzi spod kontroli rządu. Moc ta miała polegać na zdolności uzdrawiania oraz oczyszczania umysłów ludzi z „głupich i niepotrzebnych praw narzuconych przez władze miasta i kraju”. Gajdar twierdził, że jego moc nie jest niewyczerpana i dlatego musi ją uzupełniać. Mówił, że najlepiej czerpie się ją z dzieci, gdyż „nie są one jeszcze skażone nakazami ograniczającymi ich wolność”. „Kapłan” urządził sobie „salę modłów” w podziemiach, które podobno rozciągają się pod całym miastem i prowadzą do wszystkich domów, które zbudowano

w zeszłym stuleciu. Podziemia te miały pełnić funkcję schronienia na wypadek wojny lub klęski żywiołowej. Co wieczór przyprowadzał do swej kryjówki grupkę dzieci. Kiedy następnego dnia rodzice chcieli je zabrać do domów, mówił, iż są wyczerpane procesem przekazywania mocy i zapadły w głęboki sen, z którego obudzą się dopiero po kilku dniach. Trwało to przez tydzień. Po tym czasie rodzice zaczęli domagać się powrotu dzieci. Gajdarowi udało się ich uspokoić obietnicą, że następnego dnia dzieci wrócą do domów. Tak się jednak nie stało. Rosjanina złapano w czasie, gdy cichaczem opuszczał miasto. Zmuszono go do zaprowadzenia policji do kryjówki. Do podziemia zeszło wraz z nim trzech policjantów i dwóch ojców. Wyszły tylko trzy osoby, w tym jedna postarzona w ciągu pięciu minut o kilkadziesiąt lat. Według ich relacji, zaraz po zejściu schodami na dół, Gajdar rzucił się na jednego policjanta z nożem, trafiając go prosto w serce. W tym momencie starszy wiekiem inspektor dostał zawału. Trzeciemu z policjantów udało się obezwładnić napastnika. Podobno wtedy Gajdar rzucił się na wbite w podłogę stalowe pręty podtrzymujące ołtarz i zginął na miejscu. Pozostała trójka szybko opuściła pomieszczenie. Na powierzchni zauważyli, że jeden z towarzyszących im mężczyzn posiwiiał. Policjant zablokował drzwi prowadzące na dół i, nie wyjaśniając dlaczego, kazał szybko zamurować wejście. Jako przyczynę nagłego postarzenia się jednego z mężczyzn lekarz uznał „nagły szok wywołany gwałtownymi przeżyciami przekraczającymi odporność psychiczną badanego”. Żadna osoba z tej trójki nigdy już więcej nie chciała rozmawiać o tej sprawie. Nigdy też nikt nie dowiedział się, co tak naprawdę wydarzyło się w podziemiu. Nigdy też nie odnaleziono zaginionych dzieci.

Kiedy już przeczytałem gazetę, zaczęła ogarniać mnie ogromna senność. Chwilę walczyłem z tym uczuciem pamiętny snów z minionej nocy, lecz w końcu uległem. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem przed zapadnięciem w sen, był zegar. Wskazywał dziesiątą rano. Przez głowę przemknęła mi myśl, że jest za wcześnie na sen...

Znów to widziałem! Ten sam obraz, co poprzednio! Wysokie, drewniane schody prowadzące jakby donikąd... Jednak tym razem wiedziałem, co znajdę na górze. Opierałem się. Mimo to coś kazało mi wchodzić po schodach, podążać na ponowne spotkanie z Koszmarem. Jednak pewne szczegóły uległy zmianie w porównaniu z poprzednim snem: nie było słychać upiornej muzyki wygrywanej na dzwonach. Panowała cisza przerywana jedynie skrzypieniem schodów, po których wchodziłem. Powoli z ciemności zaczynał wyłaniać się szczyt wieży, lecz nie dostrzegłem nad sobą bezkształtnych plam. To COŚ już tam na mnie czekało!

Dotarłem na górę. Jak poprzednio pojawił się snop światła, który wydobył z ciemności mnie oraz „Kapłana”. Tym razem światło trzymało się z daleka, tak jakby nie chciało popełnić drugi raz tego samego błędu. I znowu, tak jak poprzednio, wargi nieznajomego zaczęły się poruszać, lecz tym razem słyszałem, co chciały mi przekazać! Głos nieznajomego był zimny, mroczny, poruszał każdym nerwem mojego ciała (o ile można tak nazwać uczucie, które towarzyszyło mi we śnie). Jeszcze długo po tym, jak wydarzenia te odeszły w przeszłość, słyszałem ten głos i pierwsze słowa mojego przerażającego rozmówcy:

Żywa istoto! Człowieku podległy Śmierci! Zostałeś tu wezwany, aby dopomóc mi wypełnić moją świętą misję. Wiele lat byłem uwięziony, lecz czas się dopełnił. Powrócę, aby głosić Słowo Wolności, a ty będziesz narzędziem w moich rękach, które uwolni mnie i poprowadzi do wiecznej chwały w imię Pana!

W tym momencie postać zaczęła znikać, stawać się przezroczystą. Ja sam stałem jak sparaliżowany, nie mogąc się ruszyć. Nagle usłyszałem trzask. Schody pode mną zaczęły rozpadać się! W następnej sekundzie leciałem w dół w niezmierzoną otchłań strachu i ciemności.

Obudził mnie mój własny krzyk. Siedziałem na fotelu w salonie. Zegar wskazywał trzecią po południu. Moje senne przeżycia trwały więc dłużej niż mogłem przypuszczać. Bolała mnie głowa. Powoli wstałem i nagle usłyszałem trzask. Przerazony, mało nie straciłem przytomności po raz drugi raz dnia. Trzask przypominał mi rozpadające się schody. Myślałem, że cały dom zaraz runie mi na głowę. Nic takiego się jednak nie stało. To na dworze złamała się gałąź starego wiąz. Na zewnątrz szalała burza.

Poszedłem do kuchni. Wziąłem dwie aspiryny i napiłem się kawy. Przez następną godzinę piłem filiżankę czarnego, odpędzającego sen płynu, za filiżanką. Postanowiłem nie spać przez najbliższe dwa, trzy dni. Miałem nadzieję, że może po tym czasie koszmar opuści mnie...na zawsze.

Podobno przed przeznaczeniem nie ma ucieczki. Można jedynie swoimi czynami zmienić najbliższą przyszłość. Jednak celu, wyznaczonego każdemu człowiekowi przez siły wyższe, nie zmienić nie można. Można starać się oddalić od niego, okrążyć go, wyminąć. On jednak zawsze będzie przybliżał się, aż nadejdzie chwila, w której życiowa misja każdego człowieka zostanie wypełniona. Takim głównym celem w życiu większości z nas jest śmierć, lecz niektórzy mają ważniejsze zadania do spełnienia: ich misją jest praca nad poprawą losu całej ludzkości, stawanie się męczennikami lub świętymi lub inne doniosłe cele. Ja sam kiedyś pragnąłem wybić się ponad tych zwykłych, zmierzających ku ostatecznemu końcu, niezauważanych ludzi. Jednak po wydarzeniach, o których piszę, zmieniłem zdanie. Poznałem misję, jaką miałem wypełnić, i zacząłem żałować, że przeznaczenie wybrało właśnie mnie.

Po wypiciu kilkunastu filiżanek kawy i powzięciu decyzji o zerwaniu na kilka dni ze snem, udałem się do mojego przyjaciela – aptekarza. Chciałem pożyczyć od niego kilka paczek kawy – uwielbiał ten napój i zawsze miał go nieprzebrane zapasy – i poprosić go o jakieś środki wzmacniające – a wszystko po to, aby uwolnić się od prześladowającego mnie koszmaru.

Ulice były ciche, spowite mgłą. Kiedy szedłem, przez chwilę poczułem, jakbym był w innym miejscu, takim, którego nie znam. Jednak uczucie to szybko mnie opuściło. Idąc, przezornie nie oglądałem wystaw sklepowych i unikałem spoglądania w każdą powierzchnię, która dawała w miarę wyraźne odbicie. Nie chciałem ponownie ujrzeć twarzy upiora z mojego snu.

Po jakimś czasie dotarłem do domu mojego przyjaciela. Ponieważ na stukanie do drzwi nikt nie odpowiadał, udałem się do prowadzonej przez niego apteki. Miał on bowiem zwyczaj pracowania nawet w dni wolne i święta. „To tak na wszelki wypadek” – mówił. „Lekarza wzywa się do nagłych wypadków, tak więc może komuś potrzebne nagle będą leki?”. Sklep był otwarty. Przekraczając próg, poczułem się, jakbym wstępował do innego, oddalonego w czasie świata. Za ladą ujrzałem – zamiast mojego znajomego – młodego człowieka ubranego w niemodne dziś ubranie, który powitał mnie słowami: „Witam szanownego pana. Czego szanowny pan potrzebuje?”. Skąd on wziął takiego asystenta? – pomyślałem. Zawsze twierdził, że w swojej aptece pracować będzie tylko on i nikogo więcej do niej nie wpuści. Strój i sposób mówienia tego młodego człowieka wydały mi się dziwne, gdyż wszystko wskazywało na to, iż nowy asystent mojego przyjaciela został żywcem wyrwany z jakiejś powieści z końca ubiegłego stulecia.

Skinąłem głową w odpowiedzi i poprosiłem o opakowanie środka wzmacniającego. Kiedy wyjąłem kilka banknotów, chcąc zapłacić, sprzedawca powiedział, że to za dużo i wziął tylko jeden z nich. Następnie wydał mi sporą resztę. Opuściłem aptekę, zastanawiając się, czy to ceny leków spadły, czy też ja tracę powoli wzrok, gdyż nie mogę rozpoznać poszczególnych

nominałów.

Wróciłem do domu. Od razu wziąłem dawkę kupionego przed kilkunastoma minutami środka i zaparzyłem dzbanek kawy. Obok dzbanka położyłem na stole nóż i zestaw środków opatrunkowych. Gdyby nawet kawa nie mogła odpędzić ode mnie snu, będę naciął skórę na rękach, mając nadzieję, że ból pomoże mi pozostać przytomnym.

Kiedy kofeina zawarta w jednej filiżance kawy przestawała działać, wypijałem kolejną. I tak na okrągło przez kilkanaście godzin. Jednak po jakimś czasie stwierdziłem, że mój organizm powoli zaczyna uodparniać się na działanie kofeiny. Zmęczenie i senność coraz ciśniej zaczęły oplatać mój umysł. Spojrzałem na nóż leżący na stole. Zacząłem myśleć, czy byłbym zdolny do dokonania tak okropnego czynu. Uczucie senności zaczęło ogarniać mnie coraz bardziej. Siłując się ze sobą, wyciągnąłem rękę w kierunku narzędzia, dzięki któremu miałem nadzieję pozostać przytomnym. Zaciśnąłem palce na rękojeści. W tym momencie zasnąłem. Kątem oka zobaczyłem jeszcze przewracający się dzbanek z resztkami kawy i rozlewający się po stole ciemny płyn.

Biegłem. Coś zmuszało mnie do szaleńczego biegu. Znałem te ulice. To było moje miasto. Wyglądało jednak inaczej niż zwykle. Budynki były jakby młodsze, niezniszczone upływem czasu. W oddali dostrzegłem przejeżdżający samochód dość starego typu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy ktoś w moim mieście posiadał podobny pojazd. Nagle otoczenie zaczęło się zmieniać. Jakby znikąd pojawiły się gęste, mlecznobiałe pasma mgły, które po chwili skryły wszystko dookoła. Widziałem tylko drogę przed sobą. Próbowałem zatrzymać się, lecz jakaś siła nie pozwalała mi na to. Musiałem biec ku nieznanemu celowi. Trasa mojego biegu, która prawie cały czas prowadziła prosto, nagle skręciła. Moim oczom ukazał się dom, otoczony ogrodem, odgradzony od ulicy czerwonym, ceglanym płotem. Stałem przed bramą, która po chwili otworzyła się, pozwalając mi wejść na teren posiadłości. Przez głowę przemknęła mi myśl, że znam ten dom, jego otoczenie i umiejscowienie, lecz nic konkretnego nie byłem w stanie sobie przypomnieć. Czując, że nie mam innego wyjścia, ruszyłem naprzód. Za sobą usłyszałem szczęk. To brama zatrzasnęła się, odcinając mi drogę wyjścia. Ruszyłem powoli w kierunku domu. Po chwili stanąłem przed drewnianymi, okutymi mosiądzem drzwiami. Z niewiadomych przyczyn wiedziałem, że były otwarte, a ja muszę wejść do środka. Nacisnąłem klamkę...

Obudziłem się zlany potem, ciężko oddychając, jakbym rzeczywiście biegał przez dłuższy czas. Zza okna dochodził mnie gwar rozmów. To one wyrwały mnie z tego dziwnego snu. Kiedy ochłonałem, uśmiechnąłem się. Chyba udało mi się w końcu uwolnić od tego okropnego człowieka nawiedzającego mnie w snach. Spojrzałem na zegarek. Ten jednak nie działał. Przeniosłem wzrok na zegar stojący na półce, lecz ku mojemu zdumieniu on również stanął. Tknięty jakimś przeczuciem zacząłem chodzić po całym domu i sprawdzać zegary. Żaden z nich nie działał! Wszystkie zatrzymały się na tej samej godzinie: dwadzieścia po dziesiątej. Nie wiedziałem jednak, czy była to dziesiąta rano, czy też w nocy, tak więc nie mogłem określić, jak długo spałem. Za oknem świeciło słońce. Postanowiłem więc wyjść z domu i spytać się kogoś, która jest teraz godzina oraz jaki dzień mamy.

Zamknąłem drzwi na klucz i zdecydowałem się przejść na rynek i sprawdzić, czy działa zegar na wieży ratuszowej. Jednak kiedy tylko wyszedłem za bramę, dostrzegłem tłum ludzi podążających w stronę niewielkiego placu położonego przy parku. Moje próby nawiązania rozmowy z kimkolwiek z nich spełzły na niczym. Ludzie ci zachowywali się, jakby byli w

transie. Nie reagowali na żadne zaczepki z mojej strony. Ponadto ich ubrania były dziwne. Prezentowały styl nieobecny w modzie już co najmniej od trzydziestu lat. Nagle czyjeś ręce wciągnęły mnie w środek tego pochodu. Zostałem zmuszony podążyć razem ze wszystkimi. Tak jak się tego domyśliłem wcześniej, po kilkunastu minutach dotarliśmy na przyparkowy plac.

Gdy doszliśmy do celu, pochód uspokoił się, ucichły głosy. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się na niewielkie podwyższenie ustawione w centrum placu. Po chwili pojawił się na nim jakiś mężczyzna. Nie miałem wtedy pod ręką lustra, aby to sprawdzić, lecz podejrzewam, że zbłądłem wówczas ze strachu. Mężczyzna ów był identycznej postury i nosił takie same szaty, jak zjawa z mojego snu. Zamiast gołej czaszki, posiadał normalną ludzką twarz. Jednak moje odczucia były takie same jak podczas pamiętnego koszmaru. Od tego mężczyzny biła aura wyższości, a kiedy odezwał się, w jego głosie wyczułem nutę olbrzymiej zaciętości i nieugiętości. Prawdziwego fanatyzmu. Gdzieś w dali zaczęły bić dzwony. Mężczyzna odezwał się do zebranych w te słowa:

Bracia! Nasza Wspólnota, mimo wszelkich przeciwności, nadal istnieje! Niedługo wszyscy osiągniemy nasz cel, którym jest życie bez żadnych nakazów i praw ograniczających wolną wolę człowieka. Wolę, którą człowiek otrzymał od Boga, i którą w jego imieniu wykorzystywał do wybierania drogi postępowania. Godzina prawdy wybiła! Dzisiaj wszystko się dopełni i nasze dusze zostaną uwolnione spod jarzma tych, którzy uważają się za stojących wyżej nad inne dzieci Boga!

W tym momencie wszystko wokół mnie zaczęło się rozmywać. Ponownie znalazłem się na szczycie wysokich schodów i ujrzałem przed sobą postać ubraną w długą szatę kapłańską. Tym razem jednak to nie był sen! Czułem powiew powietrza na twarzy, mogłem dotknąć desek pod moimi stopami. Jednak postać stojąca przede mną wciąż wydawała mi się równie niematerialna, jak podczas pierwszego spotkania.

„Kapłan” zdjął z głowy kaptur. Wiedziałem, co zobaczę i myślałem, że tym razem jestem na to przygotowany. Jednak ponownie strach zawładnął mną i ledwo powstrzymałem się od rzucenia z tej wysokiej platformy w dół ciemnej otchłani niosącej wybawienie od tego koszmaru.

Śmiertelniku! – głos, który wydobył się z suchej, pomarszczonej krtani przeszył mnie zimnem i wywołał dreszcze na całym ciele, lecz jakaś siła powstrzymywała mnie przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu – mogłem tylko słuchać. – *Mój czas nadszedł! Jam jest odkupieniem, a tyś moim Heroldem, Wyzwolicielem! Wypełnisz swą misję dla chwały mojej i chwały Pana, a zasłużysz na odkupienie!* – w tym momencie upiorna postać podeszła do mnie. Spod habitu wyłoniła się koścista ręka obciążona żółtą, pomarszczoną skórą i dotknęła mojego czoła. Gdybym nie był sparaliżowany strachem, najprawdopodobniej zwymiotowałbym na koszmara stojącego przede mną. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był obraz jakichś drzwi...

Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny. Ocknąłem się na podłodze mojego pokoju, koło kominka. Kiedy próbowałem wstać, poczułem ostry ból głowy, jakby ktoś raz za razem wbijał mi igłę w mózg. Zebrałem wszystkie siły, podniosłem się i powoli podeszedłem do okna. Cały świat za szybą był spowity szarą, gęstą mgłą. Nagle wewnątrz mnie rozległ się głos każący mi zejść do składziku i wziąć kilof. Próbowałem się temu przeciwstawić. Bezskutecznie. Wziąłem więc kilof i pchany wewnętrznym rozkazem wyszedłem na ulicę. Moje nogi same poderwały się do biegu. Ruszyłem w mgłę, która rozstępowała się przede mną, tworząc korytarz o mlecznobiałych ścianach. Nagle doznałem olśnienia! To właśnie śniło mi się ostatnio. Te same ulice, tak samo gęsta mgła, szybki bieg ku nieznanemu... Teraz jednak znałem cel tej

Droga skręciła i ujrzałem przed sobą dom. Gdyby nie to, że obca wola sterowała wszystkimi moimi ruchami i myślami, najprawdopodobniej popadłbym w głębokie szaleństwo. Zatrzymałem się bowiem przed moim własnym domem! Tak jak w moim śnie brama otworzyła się, umożliwiając mi wejście na teren przyległego ogrodu. Ściskając kilof w rękach, skierowałem się do drzwi. Były otwarte. Wszedłem. Wnętrze domu nie przypominało jednak wystroju, jaki znałem. Ściany były pokryte różnymi symbolami i inskrypcjami. Nie miałem jednak czasu przyjrzeć im się dokładniej, gdyż coś – lub ktoś – skierowało moje kroki do piwnicy. Zszedłem po starych, skrzypiących schodach oświetlonych przez nieziemskie światło wydobywające się ze szczelin w ścianach. Kiedy już byłem na dole, obróciłem się twarzą w kierunku jednej ze ścian i uderzyłem w nią kilofem. Po pierwszych uderzeniach posypał się tynk oraz odłamki cegieł i rozkruszonej zaprawy. Po chwili jednak kolejne uderzenie uczyniło wyłom w ścianie. Z dziury powiało zątecznym powietrzem. Za ścianą było pomieszczenie, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, i o którym wolałbym nigdy się nie dowiedzieć.

Rozbiłem ścianę do końca. Kiedy przekroczyłem próg, w pomieszczeniu zapłonęły ustawione na podłodze świece. W ich świetle dostrzegłem przerażający wystrój tego miejsca. Ściany były zachłapane zakrzepłą krwią, którą ktoś namalował gdzieśgdyś upiorne obrazy i wypisał niezrozumiałe dla mnie słowa. Jednak najgorsze było to, co zobaczyłem na podłodze. U moich stóp leżały porozrzucane fragmenty ciał, sądząc z wielkości, najprawdopodobniej dzieci. Dostrzegłem oczy, poukładane w niewielkie kupki, leżące pod ścianą, a także coś, co wstrząsnęło mną najbardziej: fragmenty ciał noszące ślady ugryzień, nie do końca objedzone kości oraz na wpół pożartą twarz dziewczynki. Mimo kontroli sprawowanej nade mną zwymiotowałem. Kiedy mój żołądek pozbył się już całej swej zawartości, starałem się opanować i spróbować zamknąć oczy, lecz wciąż byłem zmuszony patrzeć na pozostałości po upiornej uczcie. Nagle przede mną pojawiła się postać w mnisich szatach. Uniosła głowę i upiorny śmiech zagrzmiął w tym małym pomieszczeniu. Ręce upiora wyciągnęły się w moim kierunku, a pod kapturem załśniły przygotowujące się do ugryzienia zęby. Nie wiem, jak udało mi się przełamać barierę strachu i siłę, dzięki której ten „Kapłan” miał nade mną władzę. Zamachnąłem się kilofem, wbijając go w klatkę piersiową mężczyzny stojącego przede mną. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a ja sam straciłem przytomność.

Ocknąłem się w szpitalu. Leżałem przywiązany do łóżka, a pielęgniarka wbijała mi w żyłę igłę strzykawki. Widząc, że otworzyłem oczy, uśmiechnęła się i powiedziała, że to tylko zastrzyk uspokajający. Ponownie straciłem przytomność.

Po tygodniu zwolniono mnie ze szpitala, nakazując zgłosić się na ponowne badania za miesiąc. Przez ten tydzień zdołałem dowiedzieć się, jak trafiłem do szpitala. Moje miasto zostało nawiedzone przez trzęsienie ziemi, a mnie przygniótł zawalający się strop piwnicy. Miałem podobno szczęście, że mój dom zaczęto odgruzowywać jako pierwszy, inaczej pewnie bym nie przeżył.

Zaakceptowałem tę wersję wydarzeń. Była o wiele bardziej prawdopodobna od tego, co myślałem – wiedziałem! – że mi się przydarzyło. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem napisać uzupełnienie artykułu o „misjonarzu” z Rosji i przyczynie zaginięcia dzieci i śmierci dwóch policjantów. Napisałem o tym, lecz nigdy nie wysłałem go do żadnej gazety. Z przeprowadzonych przeze mnie poszukiwań wynikało, że w naszym mieście nigdy nie przebywał nikt o nazwisku Gajdar, a tym bardziej jakiś wędrowny kaznodzieja. Policja od zawsze miała za

zadanie natychmiast wyrzucać takich osobników z miasta. Ponadto, sam zacząłem zastanawiać się nad tym, co mi się przytrafiło. Może był to tylko bardzo długi i upiorny koszmar?

Jednak moje obawy co do prawdziwości tych wydarzeń potwierdziły się. Trzy tygodnie po opuszczeniu szpitala dostałem list od niejakiej Ann Smith. Przedstawiła się ona w nim jako Kapłanka Kultu Drugiej Strony. Zamieszczam poniżej przepisany fragment jej listu, który potwierdza, że moje przeżycia nie były jedynie koszmarem sennym:

...tak więc został Pan wybrany na jego „łącze duchowe z rzeczywistością”. SSS'thot lub też Gajdar, jak nazywał siebie w waszym świecie, był renegatem i przestępcą. Zdradził nasz kult i na własną rękę rozpoczął przygotowania do rytuału otwierającego przejście na Drugą Stronę...

...w waszym świecie jest nas niewielu. Najczęściej jesteśmy wygnańcami z naszego świata, lecz część z nas przybyła tu dobrowolnie, chcąc poznać waszą kulturę i obyczaje. Podobnie jak wśród was, tak i pośród nas są i uczeni i mordercy. SSS'thot został wygnany z naszego świata za popełnione tam zbrodnie. Został oddany pod moją opiekę. Ja jednak zawiodłam. Udało mu się zmylić moją czujność i uciec. Zabiliście go, lecz dzięki pewnym umiejętnościom powrócił on z zaświatów. Ponieważ zamieszkałeś w domu, w którym SSS'thot niegdyś miał kryjówkę, postanowił zrobić cię swoim łącznikiem. Dzięki tobie nawiązał kontakt ze światem materialnym. Dzięki twojej krwi miał powrócić do waszego świata. Jednak źle wybrał. Twoje sceptyczne nastawienie do, jak wy to nazywacie, parapsychologii i „magii” pomogło ci przełamać kontrolę nad twoim umysłem. Miałeś olbrzymie szczęście...

Do listu dołączony był niewielki zielony kamień na srebrnym łańcuszku – *...to za okazaną nam pomoc. Noś ten kamień zawsze przy sobie. Dzięki temu rozpoznamy cię.*

List spaliłem, a kamień wrzuciłem do szuflady. Miałem dość wszelkich dziwnych rzeczy po tym, co przeżyłem. Nie obchodziło mnie kim lub czym był ten mężczyzna ze snu..

*

Te słowa piszę dokładnie dwadzieścia lat po otrzymaniu tamtego listu. Dziś w nocy śniła mi się gromada ludzi odzianych w długie, granatowe tuniki. Odprawiali oni jakiś rytuał. Słysząc było płacz dzieci... Zajrzałem do szuflady. Zielony kamień świecił delikatnie. Na jego powierzchni dojrzałem wzór – płaskorzeźbę przedstawiającą jaszczura stojącego na dwóch nogach, ubranego w długą, powłóczystą szatę. Mógłbym przysiąc, że nic takiego wcześniej nie zauważyłem...

Zostało mi już tylko kilka minut. On pojawił się wczoraj we śnie. Powiedział, że wiem o nich za dużo i że zabierają mnie na Drugą Stronę. Nie chcę się z nimi spotykać. Przede mną leży naładowany pistolet.

Już są. Słyszę ich kroki na schodach. Idą po mnie. Łatwo mnie nie dostaną. Mam sześć kul. Ostatnia jest dla mnie...

Marzec – Maj 1996